

Pomiędzy dziennikarstwem a poezją

**Z poetką, pisarką i dziennikarką, Barbarą Gruszką-Zych -
rozmawia Joanna Sokołowska- Gwizdka**



Barbara Gruszka-Zych, fot. arch. BG-Z

W grudniu 2020 r. wyszedł Twój najnowszy tomik „Mój cukiereczek”. Powstał z wierszy pisanych podczas pandemii. Czy tak?

W początkach pandemii pisanie wierszy stało się dla mnie codziennym rytuałem. Ze względu na obostrzenia pracuję zdalnie, mniej jest wyjazdów w teren. Prawie codziennie rano, jak nigdy dotąd od kilkudziesięciu lat, mogłam zostać w domu. Robiłam sobie kawę z kardamonem, świeżo mielonym, jak mi

kiedyś w Wiedniu radziła Ewa Lipska, i siadałam, czekając aż przyjdzie wiersz. Zapisuję teksty w telefonie, a więc domownicy pewnie myśleli, że z kimś koresponduję bądź serfuję w necie. Czasem nie musiałam wcale czekać i wiersze były natychmiastowym zapisem tego z czym się budziłam. Nieraz chciałam nimi coś krótko i treściwie opowiedzieć komuś konkretnemu, dać znać czym teraz żyję. Innym razem zapisywałam jakiś fragment i wracałam do niego po kilku dniach odkrywając, jak trafionym był punktem wyjścia. Jeszcze innym razem wiersz powstawał podczas spaceru polami za domem. Łatwo wyjąć komórkę i zapisać kilka słów jak jakiś esemes do siebie samej.

To samo zdarzało mi się podczas wakacyjnych wyjazdów w Bieszczady i do Półkot nad jezioro Berżnik koło Sejna. A także w chwilach trudnych kiedy ciężko zachorowali moja ciocia Gabi i wujek Jan, którym wtedy towarzyszyłam. Czasem przy ich łóżku szybko, bez większego namysłu, notowałam swoje emocje, niepokój i bezradność, które nie znajdowały innego ujścia. Każde miejsce jest dobre do pisania i trzeba z niego korzystać, bo inaczej szansa zostanie stracona. Teraz rozmawiam z Tobą na odległość, ale zdradzę, że jestem w wyjątkowym miejscu – klasztorze sióstr klarysek w Kętach. Za ścianą tego pokoju od 111 lat trwa wieczysta, nieprzerwana adoracja Najświętszego Sakramentu. W tym samym miejscu, w monstrancji ustawionej w gotyckim ołtarzu w niedużej kaplicy, w której czuję, że jest aż

gęsto od obecności Niewidzialnego. Pewnie te lata modlitw dziękczynnych, bo siostry podkreślają, że to adoracja dziękczynna, sprawiły, że przywoływany i wielbiony Bóg daje odczuć przebywającym, że prawie namacalnie jest. Dobrze by było skorzystać z tego *genius loci* i coś tutaj napisać. Pamiętam jak Czesław Miłosz pokazał mi swoje słynne kajety, które miał zawsze gdzieś blisko i zapisywał w nich to, co do niego przychodziło nawet w środku nocy, świadomy, że natchnienie nie wróci.

Czy pisanie było dla Ciebie terapią w tym trudnym okresie?

Jeśli tak na to patrzeć, każde pisanie jest pewnie terapią, bo oczyszcza z emocji i porządkuje je. Słowa, które znajdowałam, były dla mnie jakąś kotwicą, umocowaniem w czymś pewnym, czym niewątpliwie jest dla mnie literatura. To z niej, jak z wiary, czerpię siłę do życia, bo w dobrej literaturze można znaleźć podpowiedzi jak znaleźć jego sens. Mam nadzieję, że w moich wierszach też ktoś znajdzie coś dla siebie, jakąś nadzieję, bo o nią przecież chodzi.

Jesteś autorką ponad 20 tomików wierszy, które opowiadają nie tylko o Tobie, ale i o czasie, w którym przyszło nam żyć. Jako niezwykle wrażliwa poetka, wyłapujesz z rzeczywistości skrawki uczuć i przeżyć, aby z niuansów zbudować pomost pomiędzy „ja” lirycznym a

otaczającym światem. Jak pisze wiersze dziennikarka?

Dziennikarz jest nieustannie nastawiony na innych, słuchający z uwagą i oddaniem. Pisanie wierszy, jak mówił Czesław Miłosz, to egotystyczne zapatrzenie w siebie, a dziennikarstwo jest zwróceniem się w stronę drugiego. Ale nie jest tak do końca, bo kiedy przyglądam się uważnie tropom moich dziennikarskich pytań i dociekań, widzę, że wynikają one z mojej egoistycznej pobudki jaką jest chęć znalezienia odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Dziennikarstwo i pisanie wierszy można porównać do zapewniającego niezbędną równowagę stania na dwóch nogach. Ta jedna, dotykająca mocno ziemi, umożliwia mi kontakt z rzeczywistością i owocuje reportażami i wywiadami. Druga, zatrzymana gdzieś w powietrzu, próbująca unieść mnie do góry, obrazuje stan w jakim czasem się znajduję podczas pisania wierszy próbując przekroczyć granicę między tym, co rzeczywiste, a tym, co nierealne.

Czym jest dla Ciebie poezja?

O to pytałam tysiąc razy moich wybitnych rozmówców – poetów. Agnieszka Osiecka powiedziała, że moment powstania wiersza to strzał pistoletem w tył głowy. Ksiądz Janusz Stanisław Pasierb podobnie twierdził, że zapisanie wiersza jest możliwe kiedy poeta zgromadzi w sobie emocje, tak jak proch w lufie pistoletu, a sam zapis to chwila jego zagęszczenia, a potem wybuchu – po

niemiecku – dichtung. „Mój poeta” bo tak nazywałam Czesława Miłosza, mówił o dajmonionie, który szepce do ucha to, co w tej chwili jest najważniejsze. Bardzo podobało mi się to, co powiedział o pisaniu rosyjski poeta Jewgienij Riejn. Że to moment, kiedy kości zostały rzucone. Dla mnie pisanie wierszy jest okazją do zdziwienia tym, co mnie jeszcze zachwyca, a na szczęście – wciąż to się dzieje. Do zmierzenia się z przeczuciem co mnie tworzy poza ciałem, włosami i przeczuwaną, nigdy nie dającą się uchwycić duszą. Pisanie wierszy, to próba uchwycenia co z tego świata zewnętrznego zostaje w nas, a jednocześnie usilne poszukiwanie pociechy. Jak powiedziała mi kiedyś poetka Ewa Lipska: „Wierszyk jest poduszczką, do której można się przytulić po okropnościach świata”. Pisanie przydaje się do zatrzymania, we wcale nie takich kruchych słowach, kruchych ludzi i wspomnień o nich, które czytelnicy, biorą potem za swoje. I takie spotkania są największym szczęściem piszącego.

Z doświadczenia wiem, że każdy rozmówca, z którym przeprowadzam wywiad, coś mi zostawiał, jakąś ważną życiową myśl, kierunek, w którym należy podążać, na coś mnie uwrażliwiał. Ty napisałaś biografie Czesława Miłosza, Wojciecha Kilara, czy też z wywiad rzekę z Krzysztofem i Elżbieta Zanussimi. Książki te powstały z przyjaźni, z wieloletnich kontaktów, byłaś ze swoimi bohaterami blisko. Czego się od nich nauczyłaś?

Zmarły kilka dni temu wybitny 92-letni lekarz prof. Franciszek Kokot, będący legendą polskiej medycyny, uczył, że trzeba szukać mistrzów. Bardzo mi się to spodobało, bo jestem tego samego zdania, wręcz całe życie poszukiwałam ludzi, którzy wiedzą więcej. Moje wywiady, książki wzięły się z zachwyty naukami moich nauczycieli życia. Właściwie każdy bohater mojej rozmowy jest kimś takim. Wspomniani przez Ciebie artyści wiele mi dali. Do pana Wojciecha Kilara chodziłam się nawracać i odzyskiwać spokój wewnętrzny, bo, pewnie ze względu na wielką wiarę, emanował nim.

Czesław Miłosz nauczył mnie, że bez względu na warunki i niedogodności życiowe, brak uznania dla twórczości i związane z tym poczucie osamotnienia, trzeba robić to, co jest naszym imperatywem. Jak on, kiedy przez 30 lat w Berkeley pisał do szuflady czy raczej dziupli starego dębu, mając niewielkie grono czytelników. Takie podejście do własnego dzieła ma sens, bo, jak mówił, dzięki konsekwentnej i nie rozpraszanego aplauzem pracy, nasze pisanie nabierze głębi, będzie takie, jakim w tzw. sprzyjających okolicznościach nie mogło by się stać. – *Czy gdybym powiedział, żeby pani przestała pisać, posłuchałaby mnie pani?* – zapytał kiedyś. Opowiedziałam zdecydowanie, że nie. Ucieszył się: – *Tak powinno być, tylko takie podejście ma sens.*

Elżbieta Zanussi nauczyła mnie bezkompromisowości w mówieniu o wierze i prawdzie, jaką jest w jej życiu Jezus

Chrystus. Od jej męża Krzysztofa otrzymałam potwierdzenie jak ważna w przyjaźni jest wierność. Właściwie mogłabym jeszcze wiele tych nauk przypomnieć, bo wiedza jaką otrzymałam podczas rozmów jest ogromna. Co jednak nie znaczy, że z niej stale i umiejętnie korzystam...

Od 30 lat pracujesz w tygodniku „Gość Niedzielny”, tam piszesz o ludziach, którzy żyją w zgodzie ze sobą i swoim sumieniem, poświęcają się dla bliskich, czy dla jakiejś idei. Tak pięknie piszesz o tych często prostych ludziach, a tak wielkich i heroicznych w swoich codziennych życiowych postawach. Którą spośród ludzkich historii szczególnie zapamiętałaś?

Za każdym razem jestem pod wielkim wrażeniem moich bohaterów. Gdyby się zastanowić, to bardzo wielu ludzi nie wywołanych do opowiadania, prowadzi takie piękne życie jak oni. Kilka dni temu byłam w Zakopanem u pana Kazimierza Gąsiennicy-Byrcyna, przez lata zawodowego, a dzisiaj honorowego ratownika tatrzańskiego, który zniósł z gór ponad tysiąc ludzi. Uratował im życie, a nie czuje się bohaterem, tylko przypomina, że ratownikiem zostaje się z wyboru, z pełną świadomością, że będzie się narażał życie. Z tych wielu dziennikarskich spotkań wracam do odwiedzin w domu pani Teresy Wojnar, która przez 24 godziny na dobę zajmuje się z oddaniem swoim niepełnosprawnym synkiem Jasiem. Kiedy

pierwszy raz weszliśmy do pokoju chorego Jasia z fotoreporterem Heńkiem, mieliśmy wrażenie, że powinniśmy tam klęknąć jak przed Najświętszym Sakramentem. Miłość jego mamy sprowadza Pana Boga na ziemię.

Jeździsz też za granicę, przeprowadzasz wywiady z wieloma ciekawymi ludźmi. Duże wrażenie zrobił na mnie Twój artykuł o szwedzkim nobliście z dziedziny literatury Tomasie Tranströmerze i rozmowa z jego żoną Moniką. Paraliz przeszkodził mu w pisaniu, ale nie zabrał nadziei i szczęścia. Na takich postawach powinniśmy się wzorować i wierzyć, że każda sytuacja jest po coś, czegoś nas uczy o nas samych. Czy też tak uważasz?

Oczywiście. Wizyta u państwa Tranströmerów, po śmierci poety, była dla mnie doświadczeniem ich ogromnej miłości. Przytoczę pierwszą część wiersza, który powstał na marginesie spotkania, a, mam nadzieję, wyraża kwintesencję tego co czułam:

1. teraz wiem że w Sztokholmie byłam

w jeszcze jednym kościele na piętrze

trzecim do trzech razy sztuka

żeby poznać prawdę co czym jest
za którymi drzwiami otwierają się następne
prowadzące do pokoju poety
w którym siedział nie mogąc się poruszać
razem ze swoją żoną Monicą wtedy była ich jednym
chodzącym podającym kochającym ciałem
dzisiaj podaje mi prawdę o tamtych dniach
drżącymi ustami nadal ma piękną twarz
którą musiał podziwiać nawet w nocy
bo noce odkrywają każdy ukryty blask
którego w słońcu nie widać nadal go kocha
po przejściu z nim milion razy tego pokoju
i teraz kiedy go brakło chodzi w jego stronę

po literach jego wierszy słodkim morzu

łaskoczącym brzeg ich domu

jak modlitwy progi kościołów

Jaki był dla Ciebie miniony rok, kiedy przyszło nam żyć w zamknięciu? Czy czegoś nowego się o sobie dowiedziałaś?

Że człowiek wiele przetrzyma... Po raz kolejny cieszyłam się jak to dobrze, że umiem pisać i czytać, bo dla tych, którzy to praktykują, zmiany w świecie zewnętrznym nie przynoszą drastycznych zmian we wnętrzu. Takie metamorfozy gwarantuje im raczej dobra lektura albo nagle przychodzący tekst. Dowiedziałam się też jak przepadam za moimi przyjaciółmi, znajomymi, jak bardzo kocham się z nimi spotykać...

O czym marzysz, co chciałabyś zrealizować w tym roku?

Marzę, żeby wybrać się w podróż z moimi przyjaciółmi. Polecieć z nimi na Marsa, no, może na księżyc... A tak na serio – po prostu pójść do knajpki na rynku w mojej Czeladzi, albo w Katowicach i gadać, a może – tańczyć – całą noc.

Zobacz też:

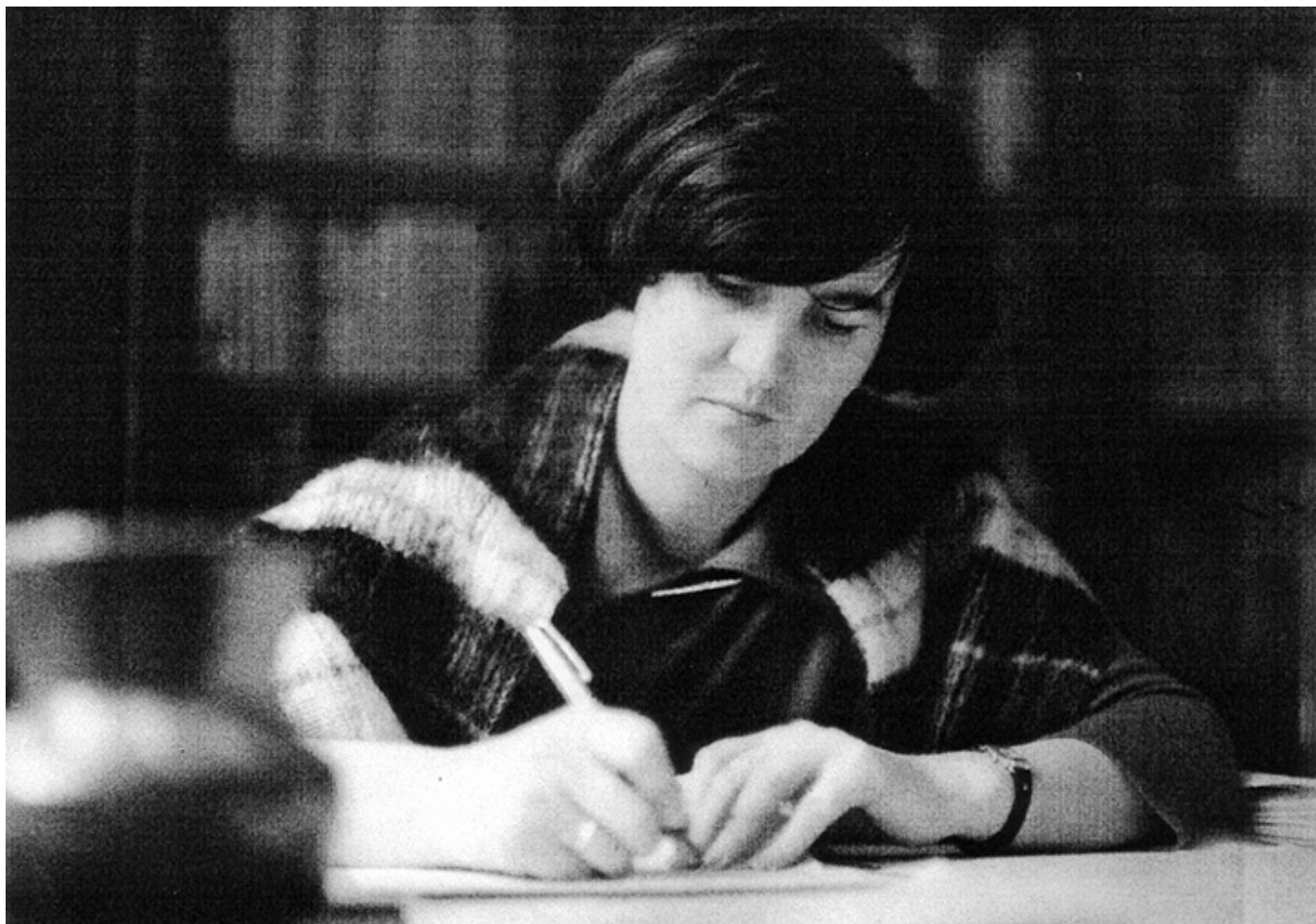
„Mój cukiereczek” – nowy tomik wierszy Barbary Gruszki-Zych

„Mój cukiereczek”. Kilka słów o najnowszym tomiku Barbary Gruszki-Zych.

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka

za Bug.

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)



Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Teraz my staliśmy się uciekinierami. Były ich tysiące. Drogi zamieniły się w rzeki ludzi. Tłok był tak wielki, że niepodobna było jechać. Można było zatratować żywych, popychających się wzajemnie, walczących o swoje miejsca, o prawo do istnienia. W jakim tempie mogliśmy się posuwać końmi niech zobrazuje

postać górala w sukiennych, białych spodniach paradnych haftowanych w parzenice, w białej koszuli z ciupagą przez ramię, w kapeluszu czarnym z muszelkami ku ozdobie szedł boso, a buty dyndały związane sznurowadłami na plecach. Piękna, wełniana gunia niedbale zwisała z ramienia. Mijaliśmy się co jakiś czas, to on nas wyprzedzał, to my jego. Przy każdym spotkaniu unosił kapelusz do góry i pozdrawiał.

Ludzie taszczyli tobołki, ciągnęli bydło, wieźli na małych, dziecięcych wózeczkach wszelaki dobytek. Kto czym mógł jechał, kto co miał zabierał ze sobą na wschód. Posuwała się ta masa ludzka i zwierzęca nieuporządkowana, nie do opanowania, niebezpieczna sama dla siebie. Posuwaliśmy się powolutku szukając ciągle możliwej przestrzeni. Był upał, niebo bezchmurne, paliło słońce bezlitośnie i co chwilę przelatowały nad głowami samoloty, które ostrzeliwały się na naszych oczach, dymiły i spadały płonąc na domy i drzewa. Grozę i niebezpieczeństwo powiększały jeszcze salwy z karabinów maszynowych. Na drodze panował straszny hałas i zgiełk, ludzie się gubili, krzyczeli, nawoływali, przewracali i popychali. Strzelano z góry do moich braci, bo byli w rogatywkach harcerskich w kolorze wojskowym. Osłoną były nam stogi siana. Jakoś dotarliśmy do rzeki o nazwie Ługa pod Uściługiem. Most był zerwany, więc przebyliśmy ją wpław nie szukając brodu. Konie omal się nie potopiły, a bryczka zanurzyła się w wodzie. Jej skrzyniowa konstrukcja uratowała mnie przed wypadnięciem, ale

i tak wszystko pływało: moja lalka, Eli komódka, braci znaczki nie mówiąc już o jedzeniu załadowanym na wóz. Po drugiej stronie Ługi trafiliśmy na świeże pobojuwisko. Była tam potyczka polskich wojsk napadniętych przez miejscowych Ukraińców. Pole bitewne usłane było oskalpowanymi trupami Polaków, rozrzuconymi nabojami, granatami i szczątkami ludzi i umundurowania. Musieliśmy przez to wszystko przejechać. To było straszne. Później zbieraliśmy naboje, całe załadowane magazynkami, pomagaliśmy polskim żołnierzom. Leżało tam dużo granatów ręcznych. Podniosłam jeden w kształcie gęsiego jaja o rowkowanych podziałach. Bardzo mi się podobał i chciałam się nim pobawić, ale Witek już był przy mnie i szeptem kazał mi to ostrożnie położyć. Ze strachem, ale posłusznie to uczyniłam. Podobno był odbezpieczony. Cud! Dotarliśmy wreszcie do Uściługa, ale naszej rodziny, cioci Irki Wołowskiej już tam nie było. Uciekła do Zarzecza.

Więc i my pojechaliśmy do Zarzecza, majątku dziadka Stefana Taczanowskiego, brata naszej babci ze strony taty. Ciocię Irkę znaleźliśmy w wykopanym w ogrodzie rowie wielkości pojedynczego grobu. Tuliła maleńką, dwutygodniową Madzię w beciku. Babcia z półtoraroczną Danisią usiłowała we dworze spełniać normalne, codzienne, domowe czynności sama, bez służby. Nie pamiętam czy nocowaliśmy we dworze, czy pojechaliśmy dalej. Zapamiętałam szerokie plenery Wołynia, kopy siana na polach, może były to stogi koniczyny i sterty

słomy, pod którymi chroniliśmy się dla odpoczynku. Nie wiem ile dni jechaliśmy i kiedy znaleźliśmy się w Biskupicach (lub Biskupiczach wg Aftanazego) należących wówczas do hr. Kaszyckiego, gdzie był nocleg w kącie dworskiej oficyny, pokotem na słomie. Karmiło nas wojsko polskie swoimi konserwami z grochówką i wieprzowiną. Biegaliśmy z braćmi oglądać zestrzelony polski samolot „Karaś”. Właziliśmy do środka i nawet chłopcy zdobyli pierwsze i chyba jedyne trofeum wojenne. Była to mała lampka, a raczej szkiełko przykrywające, czerwone i wypukłe, wielkości orzecha włoskiego. Długo przewracało się w szufladce z rupieciami maminego biurka, teraz jest u Julka. Wszystko to, co się działo wokół nas było ogromnie interesujące i niezwykle. Nie potrafiliśmy dzielić niepokoju matki i babki. W Biskupicach zamieszkaliśmy później w pałacu i byliśmy oprowadzani po pięknych ogrodach, gdzie hodowano nadzwyczajne gatunki róż oraz szparagi. Ogrodnik szczycił się wyhodowaniem odmiany tzw. czarnej róży, rzeczywiście była bardzo ciemnoczerwona. To wtedy, tam, w Biskupicach z rąk nobliwego dżentelmena (nie wiem kto to był) dostałam pierwszy kwiat w moim życiu – pąsową, pachnącą, cudowną różę.



Małżeństwo Eleonora i Józef Fabijańscy (mama i tata) w oczekiwaniu na potomka, moją starszą siostrę Elę, u cioci Helenki w Lublinie, 1924 r.

Dlaczego zawędrowaliśmy aż do Biskupic? – dlaczego nie do Zarzecza? – nie wiem. I nie chcę pytać rodzeństwa, zresztą, pewnie też nie wiedzą. Piszę swoje wspomnienia, to co zapamiętałam jako niespełna siedmioletnie dziecko. Szkoda, że nie zapamiętałam co mi się śniło, gdy spałam jedną noc w bryczce (o tym po latach powiedział mi brat Julek). To piękny i fascynujący przyczynek do życiorysu – gorąca noc pod wygwieżdżonym niebem we wrześniu 1939 roku na Wołyniu. W

mej pamięci to biała plama, ale może symbolicznie związana z późniejszym zawodowym życiem?

Po kilku dniach spędzonych w kwitnącym majątku, zapadła decyzja powrotu przez Włodzimierz Wołyński, gdzie mieszkała ciocia Janka, siostra taty z mężem, córką i matką. Był to już 18 września i wojska sowieckie nie wpuszczały nikogo do miasta. Witek, sprytny chłopak, przedarł się sam wykorzystując moment nieuwagi, a może łagodność i wyrozumiałość żołnierza. Dotarł, powiedział, że wracamy do Hrubieszowa i żebyśmy czym prędzej opuściły Włodzimierz.

Wróciliśmy szczęśliwie do siebie dzięki zaistniałej sytuacji, gdy Niemcy już byli, ale cofnęli się z Hrubieszowa, a Sowieci jeszcze nie doszli. W tym krótkim okresie kilku dni miasto było w polskich rękach.

Niestety, nasze mieszkanie zastaliśmy splądrowane, rozgrabione i w rozgardiaszu. Stały ogołocone ze wszystkiego meble i walały się puszki po konserwach niemieckich, wojskowych, a na stole pozostały butelki po winie, w których mama przygotowała sodę na maseczki przeciwigazowe. Wszystkie bowiem kobiety zostały przeszkolone na wypadek wojny i mama zrobiła duży zapas dla całej rodziny tego płynu, przecież nie do picia. Myślę, że skutki działania sody w żołądku żołnierze zapamiętali na całe życie.

Siedziałam na biurku mamy i patrzyłam przez okno jadalnego pokoju wychodzące na reprezentacyjny podjazd z okrągłym klombem kwiatowym i strzyżonym trawnikiem. Widać stąd było część ogrodu ze srebrnymi świerkami i szpalerem grabowym, krzewami magnolii i berberysu. Od ulicy oddzielało murowane ogrodzenie o żeliwnych sztachetach i także brama o dwu skrzydłach gościnnie otwartych. Szereg starych drzew jesionów i kasztanowców do dzisiaj jeszcze mówi o ważności tego dworu. Spod portyku było wejście do apteki i ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Szałwia się czerwieniła, aksamitki złociły, tylko trawa nie zawsze miała czystość i soczystość zieleni. Przerastał ją gęsto ptasi rdest, mniszek lekarski i babka lancetowata. Zwłaszcza ptasi rdest lubił sobie pohulać i wszędzie było go pełno.

To okno było moim ulubionym miejscem, zwłaszcza, że pod biurkiem, z mnóstwem ciekawych szuflad, było mieszkanie dla lalek. Teraz wszystkie uchwyty od szuflad były wyrwane, zameczki tudzież i tylko jedna szuflada nie została otwarta przez złodziei. Mama mówiła, że to cud. Właśnie w niej przechowywała biżuterię i w szkatułce relikwię – pamiątkę z pielgrzymki do Rzymu w 1925 roku. Tą świętością był gwóźdź ręcznej roboty, wykonany na wzór tych, którymi przybito Chrystusa do krzyża. Dokument po łacinie objaśniał i zaświadczał, że został potarty o prawdziwy, Chrystusowy. Mama owinęła go w jedwabną

chusteczkę i tylko czasem nam pokazywała. Fakt – tylko ta szuflada nie została zbeszczeszczona. Relikwię tę przechowuję ze czcią i przekażę któremuś z wnucząt.



Rodzina Fabijańskich w ogrodzie. Tata Józef, Witek, Ela, Julek, ja, mama Eleonora, Zamość 1936 r.

Po naszym powrocie przybyło polskie wojsko i rozłożyło się taborem w parku. Stały namioty, żołnierze jakby na luzie, a jednak czuwali – siedzieli na trawie, chodzili. W pewnym momencie w bramę wjechał kałmuk na małym, zwrotnym koniu. Miał na sobie szynel wojskowy z wiszącymi strzęgami, które

zwisły dołem, jak frędzle, na sznurku zwisał bagnet, na głowie barankowa, kozacka (?) czapa typu papacha. Miał twarz azjaty, o wydatnych kościach policzkowych, płaskim, szerokim nosie i szparkowatych oczach. Miał w ręku pistolet, nagan rosyjski. Wyciągnął prawą rękę w górę i każąco krzyknął – „Ruki w wierch”! – Zaskoczeni żołnierze podnieśli się niepewnie i powoli unieśli ręce do góry na znak poddania się. Widać było osłupienie i przerażenie na twarzach. Może spodziewali się raczej Niemców, przecież z Sowietami nie mogli walczyć, bo taki był rozkaz Rydza-Śmigłego. Za kałmukiem wpadła cała horda dzikusów, którzy rozbijali Polaków, zdzierali im naramienniki z dystynkcjami, deptali po nich, a odebrane karabiny kazali składać w kozły. Wszystkich Polaków wzięto do sowieckiej niewoli. Pierwszy obóz w Hrubieszowie zorganizowano na dziedzińcu szkół powszechnych, które mieściły się w ogromnym nowym budynku, daleko za mostem Chełmskim, w pobliżu przedwojennych koszar. Chodziłam tam cały rok do szkoły już po tzw. wyzwoleniu w 1944/1945 r.

Do dzisiaj prześladują mnie koszmarne sny związane z drogą, którą musiałam codziennie pokonywać, idąc na skróty dobrych parę kilometrów. Zawsze tam wiało, zwłaszcza na moście, a w czerwcu niemiłosierna spiekota. Niepotrafiła mi tego wynagrodzić malownicza Huczwa, do której od strony ulicy Kilińskiego schodziły pasami ogrody pełne zarośli, pochyłych drzew wierzbowych, kąpiących się malowniczo w wodzie, na

której kołysały się tu i tam małe czółna przywiązane linkami do drewnianych słupów i pomostów niczym w Wenecji. To do dziś bardzo piękny zakątek. Ulica Kilińskiego ma miękkość łuku, powtarzając zakole Huczwy. Od frontu domy przeważnie drewniane, stare, z ganeczkami i ogródki kwiatowe, za domami zieleń sadów schodzących aż do rzeki. Nie wiem doprawdy dlaczego w moich snach jest coś lęklivego, zwłaszcza w tym pokonywaniu mostu. – Tak często mi się śni...

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Zamość.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

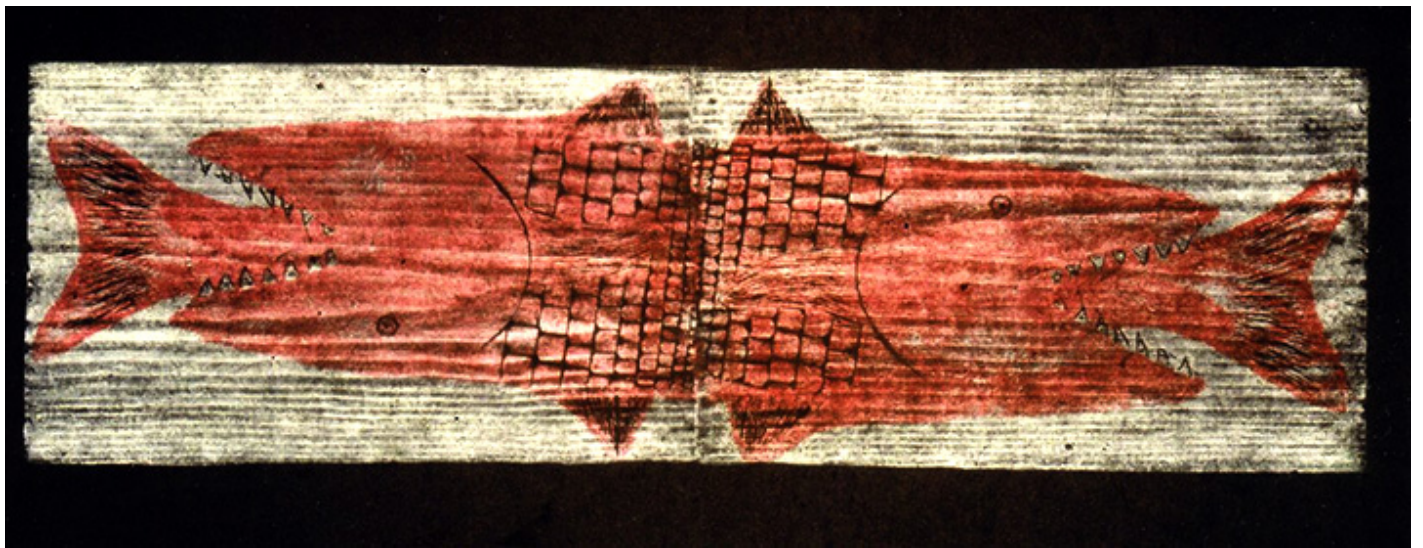
Wywiad:

Historia w karetach zaklęta

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego

Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The transport Museums”, miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compiègne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.

Wilek Markiewicz – drzeworyty



Wilek Markiewicz, Ryba, drzeworyt

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 – 85. Wydawca i redaktor „Kurieru Polsko -Kanadyjskiego 1972 – 86 – pierwszej prywatnej gazety polonijnej na kontynencie amerykańskim.

Współpracownik „Canadian Political News & Life” 1988 – 89.

Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz

„Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano - Americano”

(Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego”

i „Związkowca” (Toronto). Wysłannik Kanadyjskiej Federacji Prasy Etnicznej na konferencji NATO w Brukseli (1977). Autor noweli „Kanibale duszy”, która ukazała się w wydawnictwie „Historias para no dormir” (Madryt) oraz w pismach ukazujących się w językach: hiszpańskim, francuskim i polskim w Toronto. Autor opowiadania „Ośmiornica”, które ukazało się w „Fantastyce” (Warszawa) oraz po hiszpańsku i po francusku w pismach w Toronto, a także po angielsku w prowadzonym przez siebie piśmie internetowym – „Vagabond Pages”.

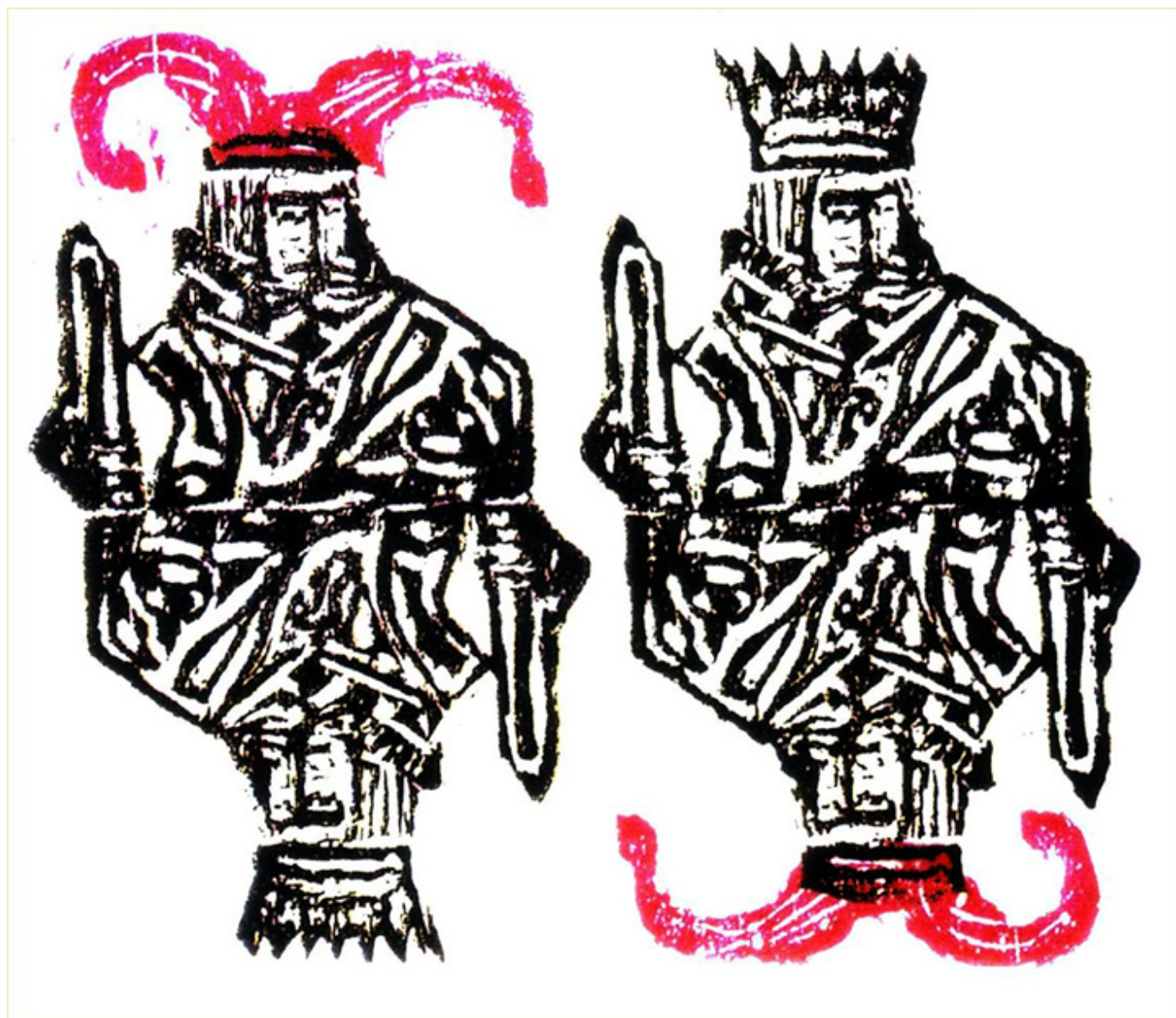
Jako artysta malarz prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych m.in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech.

Jego artykuły „Pity and Horror” (Litość i zgroza) oraz „Abortion and Biology” (Aborcja i biologia) ukazały się w pismach dla pielęgniarzy i medyków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. „Disinformation as a War Crime” (Dezinformacja jako zbrodnia wojenna) znalazła swoje miejsce na str. 64 – 65 w glosariuszu kontrowersji „Many a Slip...” wydanego przez prof. Gregory James’a z Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology. „Return to Paris” (Powrót do Paryża), w formie miniatury artystyczno-literackiej o ograniczonym nakładzie, wydana przez Pequeno Press w Bisbee, AZ.

Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence” został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”. Książka jest również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska” i „Ewa”. Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak.

Wilek Markiewicz zmarł 16 listopada 2014 roku w Toronto, w wieku 84 lat.

DRZEWORYTY



Wilek Markiewicz, Król i błazen, drzeworyt



Anioł i diabeł



Portret



Dieppe

(port na wybrzeżu francuskim nad kanałem La Manche w
Normandii)



Spacer w lesie



Byk



Tancerze



Życie po śmierci - bukiet

Zobacz też:

Filozof bytu

Podążanie za światłem. Wystawa Wilka Markiewicza.

Wiliam Markiewicz – malarz, dziennikarz, wydawca.

Irena Ewa Idzikowska – wiersze



Irena Ewa Idzikowska

Irena Ewa Idzikowska (ur. 5 grudnia 1964 r. w Raciborzu) – poetka, redaktorka i wydawca polskiej poezji. Mieszka i tworzy u podnóża Cheviot Hills w Szkocji. Prowadzi blogi autorskie *Smagane wiatrem (salon24)* i *Dwudziesty Drugi Wiek (WordPress)* oraz *Odcienie polskiej poezji (blogspot)* – nowy projekt/blog (rok 2021) poświęcony promowaniu polskich autorów. Autorka trzech e-booków oraz sześciu tomików poezji, z

których „Kochanie” (2016), „Zatracenie” (2016), „Porcelana” (2016), „W uczuć kokardy zaplątani” (2016) i „Echo w bursztynie” (2017), wydane były w Wielkiej Brytanii pod pseudonimem literackim **Rena Starska**. Najnowszy tomik pt. „Latte w Kazimierzu nad Wisłą”, wydany w roku 2020, sygnowała właściwym nazwiskiem, podobnie jak wydane po raz drugi „Echo w bursztynie” (2020).

Jej poezję spotkać można w wielu antologiach polskich i zagranicznych, a także w e-czasopismach. Wiersze są na portalach także w językach angielskim i rosyjskim. Szczególnym sentymentem darzy poezję śpiewaną i cieszy się, że po jej wiersze sięgają polscy bardowie – Jacek Kadis, Piotr Czechowski, Remi Juśkiewicz, Mariusz Wdowin.

Laureatka Złotej Statuetki Stanisława Moniuszki przyznawanej przez Centrum Kultury Polskiej na Litwie im. St. Moniuszki w Wilnie. Została nią uhonorowana za niezłomność ducha w niesieniu SŁOWA POLSKIEGO w wydawanych antologiach wśród poetów polskiego rodowodu, rozsianych po całym świecie oraz z okazji 100. Rocznicy Niepodległości Państwa Polskiego. Zredagowana przez nią Antologia „Odcienie polskiej poezji 1918-2018”, także otrzymała Złotą Statuetkę Stanisława Moniuszki za udostępnienie stron w sposób naukowo-koncentryczny dla Czytelnika.

Obecnie (styczeń 2021 r.) redaguje piątą z kolei antologię polskiej poezji współczesnej z cyklu Odcienie polskiej poezji pt. „Miłość, jak to łatwo powiedzieć...”. Tworząc zbiory wierszy polskich autorów, zwraca uwagę na sens egzystencji człowieka i na jego duchowość. Boże Narodzenie, Zmartwychwstanie, Mowa Ojczysta, 100. Rocznica Odzyskania Niepodległości przez Polskę i obecnie Miłość – to tematy, którym poświęciła szczególną uwagę w komponowaniu antologii. Od 2017 roku należy do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z siedzibą w Londynie.

Piosenkę do słów Ireny Ewy Idzikowskiej śpiewa Mariusz Wdowin:

SŁOWIKI

zabiorę cię tam
gdzie ból nie istnieje
słowiki miłość śpiewają
ukoję twoje serce i łzy osuszę
nie bój się bo tam
ból nie istnieje
a słowiki
miłość...

ZE SMUTKU

ze smutku starego drzewa
w konarach drżących łez
spoglądają cudze oczy

nie dotarliśmy na czas tam
gdzie nas nie zawołano
cisza bezgłośnie łka

w smutku starego drzewa
perły westchnień
żywica płyną

bezgłośny rwetes –
nie zawołają nas tam

konary uwalniają gałęzie
z nich fontanny liści
płaczą jak jesień

spoglądają cudze oczy
na smutek starego drzewa
meandry myśli drżą w konarach

OKRUCHY

kromka chleba
leżąca na talerzyku
okruchy gdzieś poza nim

zastygły dłoń
motyl bezskrzydły
zgasł płomień świecy

poza tobą gdzieś
okruchy wspomnień
jak sucha kromka chleba

cmentarze budzą bunt
dłonie czynią znak krzyża
bochenek chleba wciąż pachnie

poza tobą poza mną
przychodzą jak kiedyś
podając kromkę chleba

okruchy
motyle bezskrzydłe
wspomnienia bez śladu rdzy

KRYSTAŁ

niebo dziś napuszone

pióra bielą spadają

iskrzący płaszc

otula ziemię

wzbijają się w niebo

błękity zielenie i róże

zziębniętych marzeń

oddycha nimi ziemia

powieki otulają nieba błękit

spokój kołysze senna biel

iskra rozświecła wnętrze

osuwasz się na ziemię

śladem na śniegu pocałunki

refleksy żar przeszłość

jak kryształ narodzin

jak dzisiaj i jutro

niebo ziemia

ziemia niebo

szaman śpiewa swoją pieśń

a biel piór spada spada spada

latem maki czerwienią rozkwitną

zabrzmi dzwon jak kryształ

PO WŁAŚCIWEJ STRONIE

po lewej stronie
płonął zachodzący księżyc
tonąc w rzepakowym oceanie
jaśniał nowy dzień

po prawej stronie
wschodzące słońce
wyciągało gorąc ramion
pojaśniał duch

po marzeń stronie
ściśnięty mocniej pas Oriona
i traperki zanurzone w trawach
jaśniejących o świetle Połonin



Fot. congerdesign z Pixabay

Dwa tomiki Ireny Ewy Idzikowskiej są do zakupienia w amerykańskim wydawnictwie Blurb:

<https://www.blurb.co.uk/user/Idzikowska>

Styczeń w historii,

literaturze i sztuce



Artur Grottger (1837-1867), *Pojednanie*, olej na płótnie. 21,3 x 28,8 cm, dawniej w Muzeum Sztuki we Lwowie. skradziony w 1992 roku

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

Sosnowiec

Pierwszy miesiąc roku, styczeń ma dla mnie wielorakie oblicza. Jedno kształtuje się z wielowarstwowych pokładów narodowej historii, której ważnym elementem było powstanie 1863 roku. Wydarzenia tamtego heroicznego i zarazem tragicznego czasu powołały do życia nie tylko bliskie sercu karty dzieł literackich – wierszy, nowel i powieści – Norwida, Kraszewskiego, Orzeszkowej, Żeromskiego czy Piotra Chyńskiego, ale także – a może przede wszystkim – wstrząsające obrazy Artura Grottgera. To one zawładnęły wyobraźnią każdego wrażliwego Polaka, każąc mu snuć refleksje nad powikłaniami losu i skomplikowanymi prawami historii naszego narodu. Z grottgerowskich kartonów spoglądają na nas pełne ekspresji twarze uczestników potyczek z wojskami kozackimi, czujne oczy „kryjaków” przedzierających się przez gęstwiny ośnieżonej puszczy, postacie przerażonych kobiet i dzieci. Trudno zapomnieć obrazy przedstawiające spustoszone chaty i dworki, zimne mury wyludnionej nocą Warszawy, sznury poganianych na wschód zesłańców, zamykanie kościołów, aresztowania i „branki”. Jedno z dzieł artysty – znane zresztą w kilku studyjnych wersjach – ma wymowę szczególną. Oto na leśnej polanie leżą martwi zbliżeni do siebie głowami: styczniowy polski powstaniec i „sołdat” w szynelu – „pojednani” (jak głosi tytuł obrazu) w przestrzeni, która wymyka się już prawom historii.

Jest również dla mnie styczeń miesiącem, który – a było to ponad siedemdziesiąt lat temu – dawkował tak bardzo oczekiwane

wiadomości idące różnymi drogami od stromy Warszawy. Tu, w zagłębiowskiej ziemi z drżeniem serca przeżywaliśmy zryw powstańczy (radość przemieszana z niepokojem), przygnębienie spowodowane klęską, troskę zarówno o ludzi, jak też i o mury, o narodowe pamiątki stolicy. Wieść o wyzwoleniu Warszawy była kojąca, relacje o zniszczeniach tłumiły – niestety – euforię. Styczniowy śnieg i mróz, będący w normalnych czasach sprzymierzeńcem zimowych przygód i młodzieńczych szaleństw, w tym szczególnym 1945 roku miewał często smak i barwę krwi, mieszał się z dymami pogorzeli.

W drugiej połowie stycznia przez cztery ostatnie doby okupacji baterie niemieckich ciężkich dział osadzonych na mocnych fundamentach na Górze Gzichowskiej w Będzinie bez przerwy zionęły ogniem w kierunku północnym. W tym piekle rytmiczny huk stawał się – to już paradoksalne – normą. Chwilowa przerwa,znaczona ciszą, zastanawiała i nawet niepokoiła, siedzieliśmy schronieni po piwnicach i w suterrenach okazalszych domów wyglądając na zewnątrz, co się dzieje. A działo się to, na co tak bardzo czekaliśmy od września 1939 roku. Po drogach bitych i nawet polnych ścieżkach snuły się furmanki wiozące wraki ludzkie, to co pozostawało z dawnych butnych nadludzi. Posuwali się ku zachodowi. Tym razem bez fanfar, bez blasku, bez zwycięskiego blichtru...

Styczeń 1945 roku miał przecież i sporo urody. Weszliśmy – już

wtedy – do prawdziwie polskiej szkoły. Już z rozszerzonym językiem ojczystym, z historią, geografią, piosenką patriotyczną, zespołami recytatorskimi, w których programie – po raz pierwszy oficjalnie – przewidziane były teksty Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej, Orzeszkowej, Żeromskiego i Wyspiańskiego. Co to była za radość, gdy w skróconej inscenizacji „Warszawianki” – ja, wówczas chudzielec, grałem rolę samego Chłopickiego. W skromnej remizie strażackiej recytowałem też wielokroć – właśnie w te zimne styczenie – podniosłe wersy naszego CZWARTEGO WIESZCZA:

Teatr mój widzę ogromny,
wielkie powietrzne przestrzenie,
ludzie je pełnią i cienie,
ja jestem grze ich przytomny.

Ich sztuka jest sztuką moją,
melodię słyszę chóralną,
jak rosną w burze nawalną,

w gromy i wichry się zbroją.

Podniosły ton Wyspiańskiego – właśnie urodzonego 15 stycznia 1869 roku – bardzo podobał się mnie i moim rówieśnikom, zacierał bowiem szarżyznę dni okupacyjnych.

Z tych dawnych styczniów, z minionych obszarów dzieciństwa, wraca mi co pewien czas sympatyczna melodia do słów (jak się później dowiedziałem) Marii Konopnickiej:

Za tą głębią, za tym brodem

Tam stanęła rzeka lodem;

ani szumi, ani płynie,

Tylko дума w swej głębinie:

Gdzie jej wiosna,

Gdzie jej zorza?

Gdzie jej droga

Het do morza?

Tekst Konopnickiej, owiany smutkiem i nostalgią, kończył się przecież pierwiastkiem nadziei: „Przyjdzie wiosna, przyjdzie hoża”. W owych ciężkich czasach taki prosty wiersz dla maluczkich miał wcale niemałe znaczenie. Smak zimy, smak wiosny, młodości i nadziei. A przysłowia zawsze mówiły ludowe, od wieków formułowane przysłowia: „Gdy w styczniu deszcz leje, robi złe nadzieje”; „W styczniu grzmoty, częste słoty”; „Jak styczeń zachlapany, to listopad zapłakany”.

Teraz, kiedy przypominam sobie te przysłowia, raz złowróżbne, kiedy indziej nieco filuterne, myślę o tym styczniu z 1863 roku, kiedy to nasi powstańcy, tak sugestywnie uwiecznieni w kartonach Artura Grottgera, poprzez właśnie słoty, dni „zachlapane”, przez śnieżyce przedzierali się duktami leśnymi i bezdrożami ku WOLNOŚCI. Ideowym spadkobiercą owych „Kryjaków” był Józef Piłsudski.

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

Zobacz też:

Ostatnia podróż wieszczą

Jesień w poezji i malarstwie

Stanisław Wyspiański. Tradycja i uniwersalizm.

Marian Lichtman – wieczny “Trubadur”



Marian Lichtman, hot16 challenge

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz (*Wielka Brytania*)

Zawsze w duszy mi grała muzyka lat 70. Oglądałam wszelkie możliwe koncerty, kupowałam kasety, znałam (i znam wciąż!) na pamięć mnóstwo piosenek z tamtego okresu. Nigdy jednak nie przyszłoby mi do głowy, że zetknę się z legendą polskiej piosenki tamtych lat. *Znamy się tylko z widzenia* to jeden z moich ulubionych hitów zespołu *Trubadurzy*, a możliwość rozmowy z Marianem Lichtmanem stanowi niesamowity zaszczyt.

Nie trzeba go szczególnie przedstawiać ani w Polsce, ani w USA, gdzie często gościł. Niezwykle ciepły człowiek z wielkim dystansem do siebie i poczuciem humoru, a ponadto, albo przede wszystkim, wspaniały muzyk i choć zapamiętany głównie jako

Trubadur, ma o wiele więcej do powiedzenia w muzyce właśnie, ale także... i w literaturze, jak się wkrótce okaże!

Kiedy powiedziała Pani Joannie Sokołowskiej-Gwizdka - redaktor naczelnej magazynu „Culture Avenue”, że mogę Cię „odpytać” niemal na dowolny temat, od razu padło pytanie o to, jak się czujesz, szczególnie w tym trudnym czasie pandemii!

Mam się znakomicie. Jestem wojownikiem. W ogóle nie myślę o tym, ile mam lat.

Jak Ci się mieszka w Danii?

Uwielbiam ten kraj, jestem szczęśliwy, że mogę tutaj żyć. Polska jest moją ojczyzną, ale mam też właśnie Danię, a także Izrael, czyli trzy kraje – trzy ojczyzny.

A co muzycznie u Ciebie słychać? Z pewnością wiele osób nie ma takiej wiedzy, a działasz niezwykle prężnie!

Obserwuję świat. Podążam za zmianami. Nie odcinam się od „klasyki” Trubadurów, ale też nie zamykam na inne możliwości. W ostatnich latach „przytuliła” mnie brać hiphopowa. Młodzi ludzie proszą mnie o współpracę, a ja chętnie się zgadzam. Nie zamykam się w swojej estetyce. Zyskuję dzięki temu nową

publiczność, tzw. *jepeppejową*! (śmiech!) Wydaje mi się, że wciąż mam coś do powiedzenia w muzyce... Największym moim krytykiem jest moja żona, ale zawsze wychodzi mi to na dobre. Bożenka czuje muzykę tak jak ja i kiedy przekraczam tę „czerwoną linię”, ona mi o tym pierwsza mówi!

Czy w Twojej rodzinie kultywowane są tradycje muzyczne?

Niestety nie, choć najmłodsza wnuczka – Malou, która ma 11 lat, jest jeszcze moją nadzieją w muzyce. Jest bardzo utalentowana artystycznie. Alma, która ma 14 lat, to umysł ścisły, a obaj wnukowie odnajdują się w piłce nożnej – Anton (18 lat) i Villiam (14 lat – bliźniak Almy).



Marian Lichtman z rodziną

Podczas trwającej pandemii Covid-19 musiałeś zrezygnować ze swoich planów artystycznych, ale „dałeś” trochę siebie w Internecie. Przede wszystkim jest tego

dowodem genialny hot16 challenge!

Dostałem wyzwanie od rapera Łony. Nie miałem pomysłu, co zaśpiewać. Czasu było mało, tylko 72 godziny. Zdecydowałem się na improwizację. Z pomocą przyszedł mi Kamil Jasieński (redaktor stacji radiowej *Czwórka*), który wprowadził mnie w świat muzyki młodzieżowej (hip-hop, house i inne style muzyki elektronicznej). Swoją „odповідź” nagrałem w studio DJ Jepeja. Zrobiliśmy trzy podejścia, a to ostatnie stało się oficjalnym.

„Jepepej” było oczywiście rozpoznawalne już wcześniej. Często młodzi ludzie witają się tak ze mną na ulicy, ale hot16 challenge zwiększył zasięg moich muzycznych odbiorców, a środowisko raperów „przytuliło” mnie do siebie.

Po nominacji Łony inni muzycy zaczęli mnie „udostępniać” – m.in. znany hip-hopowiec Paluch. Dzięki temu zacząłem wierzyć w siebie. Z kolei zaproszenie do *Czwórki* na koncert przez Kamila Jasieńskiego było przełomowe dla mojej przygody z muzyką XXI wieku. Za to jestem im bardzo wdzięczny.

Odbiór był niesamowity. Młodzi ludzie oszaleli! Rozbiłeś bank!

Nie spodziewałem się tego! Nagranie hot16 challenge pozwoliło

mi po raz kolejny udowodnić, że młodzi ludzie chcą mnie słuchać i „przytulają” do siebie – czyli ten mój nowy muzyczny styl ma swoich odbiorców. Nie zamknąłem się we wspomnianiu przeszłości, cały czas jestem kreatywny, bawię się muzyką, szukam nowych wyzwań i może dlatego ludzie wciąż chcą mnie słuchać, a że w tym i młodzież – to fantastycznie.

Tym, co w pełni odzwierciedla Twoje pogodne usposobienie i wielki talent muzyczny, jest *lockdownowa* improwizacja z akompaniamentem czajnika.

Mam taki duński czajnik, który rewelacyjnie wygrywa góralskie kwinty i kwarty. Postanowiłem użyć go zamiast innego, typowego instrumentu. Chcę też zaśpiewać przy akompaniamencie patelni...

Wszystko to są improwizacje (oczywiście dbam o ich poziom artystyczny), bo moje życie to też... improwizacja. Dzięki temu za każdym razem na scenie czy w studio czuję się tak, jakbym grał i śpiewał po raz pierwszy. Ileż lat można powtarzać te same utwory. Wariacje pozwalają muzyce żyć i mnie także.

W czasie pandemii przestrzenią życia kulturalnego stała się Sieć i Ty byłeś w niej obecny, ale wiemy, że coś straciłeś... Miałeś plany, które nie zostały zrealizowane i odsunęły się w czasie na jakieś... jutro, pojutrze?

Plany muszą poczekać – płyta, teledysk, koncerty... W całej tej sytuacji najbardziej brakuje mi chyba możliwości spotkania się z publicznością na żywo – samo studio to za mało. Muzycy naprawdę cierpią z tego powodu, a i fani... Dlatego też pojawia się ta kompensacja, którą jest nasza aktywność w Internecie. Pragniemy spotykać się z naszymi sympatykami...

Tak myślę, że pierwszą rzeczą, którą zrobię, kiedy to całe szaleństwo koronawirusowe dobiegnie końca (a dobiegnie, wiem to na pewno), będzie koncert w ArtKombinat Monopolis Łódź – cudownym miejscu, w którym grają artyści naprawdę z najwyższej półki. Podczas pandemii miałem przyjemność wystąpić w niej z DJ Jepejem – fragmenty eventu pt. Jepepepej dostępne są na YouTube. Wiadomo jednak, że brakowało tej prawdziwej atmosfery... Publiczność, z uwagi na obostrzenia, nie mogła licznie uczestniczyć w tym wydarzeniu, stąd pomysł powtórki!

Choć to trudny czas dla Ciebie jako muzyka, jednak zaowocował pracami nad Twoją biografią...

To prawda, ale nie chcę jeszcze mówić o szczegółach. Jej wydanie zapowiedziałem jakiś czas temu i mam już nawet tytuł *Perkusista na dachu*.

Czy masz jakąś receptę na przetrwanie w tym zwariowanym

świecie pandemii?

Nie mam takiej recepty skutecznej w stu procentach. Dla nas muzyków, ale i dla wszystkich ludzi, podstawą musi być cierpliwość, spokój, czekanie na lepsze czasy. Ja jestem teraz w takich muzycznych koszarach – tworzę piosenki, zbieram materiały na płytę, myślę twórczo; trochę jak wojsko, które szykuje się do boju, czyli koncertowania i nagrywania, kiedy to wszystko się skończy i nadejdą lepsze czasy, a... nadejdą na pewno. Na razie trzeba jednak uważać na siebie, dbać o higienę – ta kwestia jest szczególnie ważna. Ludzie trochę ją zaniedbali, a teraz zaczynają doceniać jej wartość, jeśli chodzi o unicestwienie tego wirusa, czy też innych, które mogą się pojawić, bo przecież one mutują, a także zmienia się świat, w którym funkcjonujemy – chociażby klimat sprzyjający rozwojowi nowych chorób.

Myślmy optymistycznie, ale dbajmy o siebie! Nasi dziadkowie, rodzice przeżyli wojnę, więc i my przeżyjemy! To minie!

Zobacz też inne wywiady z artystami Agnieszki Kuchni-Wołosiewicz:

Piotr Cajdler – muzyk z Luton w Wielkiej Brytanii. Polscy

artyści podczas pandemii.

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-Bacik z Dunstable, UK

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Zmierzch Zachodu. Rozważania na Nowy

Rok.

Stefan Król (1937-2015)

London, Ontario



Paryż, fot. Pixabay

Drogom na betonowych słupach, miastom ze szkła i żeliwa,

Lotniskom rozleglejszym niż plemienne państwa

Nagle zabrakło zasady i rozpadły się.

Czesław Miłosz, „*Oeconomia divina*„

Przemija postać świata. Oczywiście nie jest to żadną nowością w dziejach. Od połowy XVIII w., czyli od narodzin angielskiej rewolucji przemysłowej, rozpoczęło się gwałtowne przyspieszenie tempa zmian cywilizacyjnych, które po upływie dwóch stuleci ogarnęły już najbardziej oddalone miejsca naszego globu. Towarzyszące materialnym przekształceniom Zachodu zmiany duchowe wdzierają się w dusze i umysły, przebudowując układy pragnień i motywacji, hierarchię wartości, orientacje poznawcze. Ogrom nagromadzonych zmian przekroczył, jak się zdaje, masę krytyczną i grozi zawaleniem całego zachodniego świata. Naszego domu.

Zachód umiera, zarówno fizycznie, jak i, a może przede wszystkim, duchowo. Narody europejskie mają ujemny przyrost naturalny. W siedemnastu krajach europejskich więcej jest pogrzebów niż narodzin, więcej trumien niż kołyszek. Wśród tej siedemnastki jest od niedawna Polska.

Nasz świat wywrócił się do góry nogami. To, co wczoraj było słuszne, prawdziwe i dobre, dzisiaj jest fałszem i złem. To, co niegdyś było niemoralne i karygodne – rozpusta, aborcja,

eutanazja, samobójstwo – dziś stało się „postępowe” i „chwalebne”. Dawne cnoty stały się grzechami, dawne grzechy – cnotami.

To, co wielkie i szlachetne jest z góry podejrzane; trzeba zrzucić go z piedestału i poddać oglądowi. Moralność spostrzega się jako obłudę, szczęście jako samooszustwo. Ten, kto po prostu ufa pięknu i dobru, ten albo reprezentuje karygodną nieświadomość, albo żywi jakieś złe zamiary. – pisał, jeszcze wtedy kardynał Ratzinger.

Właściwą postawą człowieka „nowoczesnego” jest podejrzliwość wobec prawdy dobra i piękna. Demaskować pod fałszywą skórą baranka, w którą przebiera się cnota, przebiegle ukrytą wilczą paszczkę łajdactwa – oto zalecany przez „mistrzów podejrzeń” sposób naszego udziału w kulturze, godny człowieka „światłego”. Nic zatem dziwnego, że ze współczesnych dyskusji moralnych zniknęło pojęcie grzechu, pojawiło się natomiast pojęcie „poprawności politycznej”. Nie ma już grzechów, są tylko różne sposoby życia, które należy zaakceptować jak prognozę pogody: zapowiadano deszcz, trzeba wziąć parasol. W zachodnim – tzn. do niedawna: chrześcijańskim – świecie moralnym opartym na Biblii, pewne style życia były naganne, człowiek przeżywał poczucie winy, bał się gniewu Bożego, brał pod uwagę w kalkulacjach życiowych, że Sodomia i Gomora zostały zniszczone.

Dzisiaj ten sam styl życia, z którego zasłynęli mieszkańcy Sodomy jest powodem „parad dumy”. Brak jakichkolwiek zahamowań, brak norm i wskazań, odpadnięcie od normy przez Boga wyznaczonej, powoduje, że nie wiemy, gdzie jest zero, nie wiemy, gdzie jest dół, a gdzie góra, nie jest możliwy więc „staromodny” upadek pionowy. Wobec tego spadamy we wszystkich kierunkach.

Nasza cywilizacja, nasz zachodni, euroatlantycki świat opierały się na fundamentalnej zasadzie: człowiek jest złożeniem ciała i duszy. Jak to złożenie wygląda – różnie o tym mówiono, nie było powszechnej zgody. Ale sama zasada nie ulegała wątpliwości. Dla tych, którzy mówią, że nigdy duszy nie widzieli, tę samą zasadę można sformułować w następujący sposób: nasze ludzkie – podkreślam: *ludzkie* – życie nie da się spędzić bez jedzenia i chodzenia do ubikacji, ale też: i bez trwogi, czy płomienia tęsknoty. Obok chleba naszego powszedniego człowiek pragnie wody życia wiecznego.

Nowoczesność, jeśli już mówi o trwogach i tęsknotach, to odnoszą się one wyłącznie do ciała. Priorytet, jaki w ludzkich sprawach przyznają ciału ludzie Zachodu, nie ma sobie równych w historii. Ciało i jego potrzeby: realne i wykreowane przez rządzący wszystkim rynek oraz szybko zmieniające się mody – zdrowie, seks, estetyka, ubrania, sport, operacje plastyczne, kolor włosów, dieta cud – są przedmiotem nieustającej troski i

niemal wyłącznego zainteresowania. Dla ciała potrafimy zdobyć się na poświęcenia i wyrzeczenia, pozbyć się szkodliwych ponoć – według telewizyjnych „autorytetów” – dla sprawności ciała, nawyków, czy zadawać sobie tortury w *fitness clubach*. Zacheca się nas tysiącami rad do troszczenia się o własne ciało i do zaspakajania jego wymagań, ale troska o własną duszę nigdy nie była tak podejrzana jak dzisiaj. Kto dziś troszczy się, poza kościołem, o duchowe środowisko człowieka? Ale też kościół z jego „doktrynalnym uporem” jest przez wielu postrzegany jako instytucja totalitarna.

Przy okazji zwróćmy uwagę na jeszcze jedną oznakę dekadencji naszej kultury. Klienci *fitness klubów* są z pozoru, ale tylko z pozoru, podobni do średniowiecznych samobiczowników. Dla tych średniowiecznych umartwianie się było drabiną ucieczki z motylego żywota ludzkiej doczesności, do wieczności. Ci dzisiejsi pragną jedynie przedłużyć rozkosze cielesności, zachować dozgonną młodość. Wieczność ich nie interesuje, przestała być wartością. Dla normalnego mieszkańca rynkowo - konsumpcyjnego świata nie warta jest najmniejszego zabiegu. Wypadek bez precedensu w dziejach. Wszystkie znane nam kultury bowiem w ten lub inny sposób, pod tą lub inną nazwą, stawiały wieczność jako cel życia, lub przynajmniej jako polecany wzór życia. Całkowite zamknięcie się w doczesności przytrafia się ludziom pierwszy raz. Co z tego wyniknie, nikt nie potrafi przewidzieć, ale nie można o tym myśleć bez niepokoju.

Cywilizację i kulturę Zachodu stworzyło chrześcijaństwo. Jeśli więc Zachód odchodzi od chrześcijaństwa, to tym samym gubi się prawda o naszych dziejach i o naszej kulturze, naszych zobowiązaniach wobec przyszłości, o naszej odpowiedzialności za przyszłość. Otwiera się na oścież bramę dla świata, z którego wszelkie wartości zostały wygnane. Na początku XX wieku Fryderyk Nietzsche, twórca filozofii świata bez wartości, ogłosił z butą: Bóg umarł. Od tego czasu zwolennicy wolności do wszystkiego, przy jednoczesnej wolności od wszelkiej odpowiedzialności, zobowiązań i obowiązków powtarzają za nim tezę o śmierci Boga. W istocie to nie Bóg umarł, a umarł człowiek. Cywilizacja odrzucająca chrześcijaństwo – swoją własną kolebkę, zaczyna nienawidzić siebie samej i dąży do zniszczenia swego ludzkiego oblicza. Czy Europa – gdzie proces tworzenia cywilizacji bez wartości jest bardziej zaawansowany niż w Ameryce – która nie godzi się na wymienienie w swojej Konstytucji imienia Boga, czy Europa, która wprowadzie nie prześladowa chrześcijan i pozwala im, w ramach tolerancji dla dewiantów, wykonywać swobodnie swoje egzotyczne obrzędy i przestrzegać dziwacznych nakazów i zakazów, ale chrześcijan traktuje jak obywateli drugiej kategorii, niedopuszczając ich do niektórych unijnych stanowisk (*casus* Rocco Buttiglione) nie jest na drodze do samounicestwienia?

Do opisu sytuacji duchowej świata zachodniego można przywołać anegdotę Stanisława Lema. Mężczyzna wyskoczył z

pięćdziesiątego piętra. Na wysokości trzydziestego piętra pyta go ktoś: co słyszać? Ten odpowiada: dziękuję na razie dobrze. Właśnie: na razie jeszcze dobrze.

Chcę wierzyć, że ten obraz jest nazbyt pesymistyczny, że nie jest to spadanie z wieżowca, ale osuwanie się po stoku. Człowiek dźwigając ciężar na stoku stromej góry łatwo może z ciężarem stoczyć się na dół, znacznie trudniej podejść mu w górę, ale jest to możliwe. Nawet po upadku może podjąć wysiłek powtórnego wspinania się i wierzyć, że podnoszony ciężar nie okaże się kamieniem Syzyfa. Jeśli zabraknie nam tej wiary i tej nadziei, to w obliczu wyzwań, które przyniósł nam XXI wiek, w szczególności wobec wyzwań islamu, Zachód może się tylko zawalić. Spadkobiercy na schedę po naszej cywilizacji są już wśród nas. Wystarczy przejść się ulicami większych miast Ameryki czy Europy, żeby to zobaczyć. Na ulicach wymija się i miesza publiczność wielokulturalnych rzeczywistości, wielu kosmosów. Od pewnego czasu używamy słowa „pluralizm”, mówimy, że budujemy społeczeństwa wielokulturowe, żeby zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje wokół nas. Ale obawiam się, że te terminy nie opisują w pełni tego, co widzimy. Bo tu nie chodzi o różnice poglądów, czy różnice obyczajów, tu idzie o różnice światów. Ich wewnętrzne zasady nie są wzajemnie przekładalne, jesteśmy dla siebie przybyszami z różnych planet. I w takiej sytuacji musimy ze sobą współżyć. Innego wyboru nie ma: Zachód przestałby również być Zachodem, gdyby wybrał, inny

niż współzycie, wariant. Pusty plac po nowojorskich wieżach, wybuchy na dworcu w Madrycie i w metrze londyńskim, niszczycielskie rozruchy w większych miastach Francji, pokazały jak stromy jest stok, po którym Zachód musi dzwigać kamień swojej przyszłości. W każdym razie zatrać chrześcijańskiej tożsamości jest strącaniem kamienia w przepaść.

Stefan Król – *kanadyjski fizyk, felietonista.*

Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora, pani Mariannie Król z Kanady.

Redakcja

Zobacz też:

Z historii Świąt Bożego Narodzenia

Życie rodzinne Stanisława Moniuszki

Kiedy ranne wstają zorze